

MY



A TRZECI ŚWIAT

Pismo Ruchu Solidarności z Ubogimi Trzeciego Świata MAITRI

CHODZI O SZUKANIE JEZUSA

Buraniro, Burundi, 20.02.2008

Drodzy Rodzice Adopcyjni i Przyjaciele
Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego? Nie ma Go tu, powstał (Mk 16,6).

Słowa te przypominają nam drogę, która zaczęła się w Nazarecie, a skończyła na Krzyżu, jaką i my musimy przejść. Nasze pragnienie szukania Jezusa Zmartwychwstałego w codzienności nie będzie pozbawione próby Krzyża. Ale chodzi o szukanie Jezusa, nie Krzyża, chodzi o spełnienie pragnień Jezusa za cenę Krzyża. Krzyżem może być wszystko.

W Buraniro niewiele zmian. Może to i dobrze, bo gdyby to miały być zmiany na gorsze... Coraz częstsze trzęsienia ziemi nie wróżą nic dobrego. Niedzielne trzęsienie z 3 lutego, które bardzo dotknęło Kongo i Rwandę,

i u nas dało się mocno odczuć. Na szczęście nie ma większych szkód, a przede wszystkim ofiar w ludziach, jednak jest wiele popękanych domów, zerwanych dachówek, ale przede wszystkim lęk o życie, bo ziemią trzęsie coraz częściej, kilka razy na dobę.

Ziemia przyzywa deszcz. Cały grudzień i styczeń nie padało - o miesiąc za długo. Po trzęsieniach znów ulewnie deszcze. Inne województwa już ogłosiły klęskę głodu; grady i ulewy zniszczyły dopiero co obsiane pola.

Wielki Post dla tych ludzi nie jest problemem. Pyta wielu: Jak mamy pościć, gdy i tak nie jemy do syta? Nie jeść w piątki mięsa? Są ludzie, którzy nie jedzą go całe życie - nie dlatego, że są zwolennikami wegetarianizmu, ale dlatego, że ich na to nie stać. Wielki Post

RYŻ Z SOSEM POMIDOROWYM I RYBĄ

Bertoua-Enia, Kamerun, Wielkanoc 2008
ALLELUJA!

Umiłowani w Chrystusie Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym

Z naszej placówki misyjnej w Bertoua-Enia przesyłamy wszystkim Ofiarodawcom i Rodzicom Adopcyjnym najlepsze życzenia na Święta Zmartwychwstania Chrystusa. Niech w Poranek Wielkanocny, kiedy w kościołach będzie rozbrzmiewać radosne Alleluja, Chrystus swoją łaską, nadzieją i radością rozpromieni serca każdego z Was i pozwoli odczuć bliskość serc tych, którym pomagacie. Zapewniamy o ogromnej wdzięczności i modlitwie, zanoszonej za Was wspólnie i przez każde dziecko w swoim domu. Nieśmy radość Zmartwychwstałego aż po krańce świata.

Nasze dzieci i młodzież, wspomagani przez was w Adopcji Serca, otrzymują już pomoc finansową i rzeczową. Ogromna jest radość i wdzięczność, że są gdzieś ludzie, którzy o nich myślą. Wasza pomoc i opieka duchowa nad dziećmi jest bardzo cenna i jestem pewna, że Bóg Wam to dobro hojnie wynagrodzi.

Podzielę się z Wami radosną przygodą z ostatniego dnia roku 2007.

Naszych ośmiu sierot często zapraszamy na wspólny posiłek. Zdecydowałyśmy, że ostatni dzień roku też spędzimy z dziećmi. Wspólnie przygotowaliśmy posiłek: ryż z sosem pomidorowym i rybą. Spożyliśmy go,

a wieczorem była modlitwa w naszej kaplicy. Potem na podwórku do północy były gry i zabawy z dziećmi sąsiadów, które się dołączyły.

Mała, nieśmiała Apouma Marie Florence przyszła wcześniej. Ofiarowałam jej lalkę płaczącą, z długimi włosami. Dziewczynka bardzo się ucieszyła; zaczęła się jej przyglądać, rozbierać ją i ubierać, nosić i śpiewać. Wieczorem, kiedy siostra Anuarite urządziła z dziećmi zabawy, Florence chętnie brała udział i nawet zajmowała pierwsze miejsce. Tańczyła, śpiewała - nie mogłyśmy jej poznać. Podobnie było z pozostałymi sierotami - wszystkie były szczęśliwe i radosne. Moi kochani, jest możliwe by kogoś uszczęśliwić, trzeba mu tylko okazać serce.

Od stycznia piątka sierot, które uczą się w szkole podstawowej w sąsiedztwie, dostaje codziennie rano kawałek chleba, bo dzieci jedzą w domu tylko raz dziennie po południu.

Dzięki Waszej hojności możemy samochodem dowieźć naszych kalekich starców do ośrodka zdrowia, chorym i głodnym dostarczać regularnie żywność i w ten sposób świadczyć o dobroci Boga i ludzi.

Zapewniamy członków Ruchu Maitri i Ofiarodawców o codziennej, serdecznej modlitwie w Waszych intencjach.

Wdzięczne za wszelkie dobro

Siostra Tomasza Bogumila Sadowska
Siostry Pasjonistki z Bertoua-Enia



*Błogosławionych, pełnych radości
święta Zmartwychwstania Pańskiego życzy
Redakcja*

wiąże się dla nich z czymś innym: z intensywniejszą modlitwą, spowiedzią św., daniem czegoś dla innych, jeszcze biedniejszych.

Nasze dzieci też mają wiele powodów do smutku. W tym okresie wiele z nich choruje na malarię, zapalenie płuc... Noce są zimne i mokre, a jednak, gdy się spotykamy razem, nie brak radości. Może to już radość z powodu Zmartwychwstania, bo nie są same, należą do wspólnoty Kościoła. W tym roku ośmiu z nich otrzyma Chrztost Święty, jedno przystąpi do I Komunii Świętej, siedmiu będzie bierzmowanych. Czyż to nie powod do radości, że Jezus Zmartwychwstał?

„Idźcie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie” (Mk 16,7).

Zobaczymy Go w naszym życiu codziennym, nie na obłokach. W naszych troskach, cierpieniach, ale i w radościach, w szczęściu, w przyjaciółach, w rodzinie, Kościele, tam, gdzie po raz pierwszy usłyszeliśmy Jego imię i radosną nowinę, że Zmartwychwstał.

Czego Wam wszystkim Drodzy Rodzice, Przyjaciele z Maitri i inni, nieznani nam Dobrodzieje, a także nam tutaj w Burundi życząc: zobaczyć cud Zmartwychwstania.

S. Ezechiela Pyszka
Siostry Kanoniczki Duch Świętego

Gatara, Burundi, 23.02.2008

Kochani Przyjaciele z Ruchu Maitri

„Miłość Chrystusa przynagła nas” - niech te słowa z listu Świętego Pawła do Koryntian wyrażą nasze najserdeczniejsze życzenia dla Was, drodzy Przyjaciele. Niech Wam dodają sił i stają się fundamentem i źródłem łaski w służbie miłości, której jesteście świadkami.

Życzymy, aby zbliżające się Święta Wielkanocne były odnawiającym spotkaniem ze Zmartwychwstałym Panem, który jest *Miłością*. Życie radością wielkanocną i nieście ją innym swym słowem i przykładem życia.

Zapewniając o duchowej łączności, ufamy, że wstawiennictwo Maryi, Gwiazdy Nowej Ewangelizacji, i Świętych Patronów Misji wyjedna Wam obfite błogosławieństwo Zmartwychwstałego Pana.

Siostry Kanoniczki Ducha Świętego

DZIEJE SIĘ NIEDOBRZE

Do lubelskiego ośrodka Ruchu Maitri dotarł list z Ntamugenga we wschodniej D.R. Kongo, gdzie Siostry od Aniołów prowadzą placówkę misyjną. Obok ośrodka zdrowia i dożywiania Siostry prowadzą mały szpital. Do programu Adopcji Serca włączono w tej wiosce ok. 300 dzieci.

Rutshuru 30.12.2007

U nas, niestety, dzieje się niedobrze. Jesteśmy od wczoraj na „wygnaniu” w Rutshuru. 27.12.2007 przeżyliśmy horror w Ntamugenga. Rano od szóstej godziny zaczęły spadać bomby, padały strzały. Najpierw trochę oddalone, potem coraz bliżej, tuż przy naszym domu, w samym centrum wioski. Ponad 30 mieszkańców z sąsiedztwa skryło się w naszym domu. Najstraszniejszy był moment, kiedy bomby spadały koło niego. Huk był niesamowity, świst bomb przerażający. Bałyśmy się, że bomba spadnie na dom i będzie już po nas. Leżeliśmy na podłodze w korytarzu i prosiłyśmy Aniołów, by nas strzegli, modliliśmy się na różańcu.

Około godz. 13.00 strzały i bomby ucichły. Wojsko rebelianckie zaczęło grasować po wsi i okradać chaty mieszkańców naszej wioski. Do nas też się dobijali, ale na szczęście nie udało im się, bo brama jest dosyć solidna. Miałyśmy kontakt z parafią, z naszymi siostrami z Rwandy, z Polski. Wzywałyśmy żołnierzy ONZ, aby przyjechał nam na pomoc. Niestety, jak tylko dojechali do Rubare, wioski oddalonej 8 km od Ntamugenga, miejscowa ludność obrzuciła ich kamieniami, a oni wycofali całą operację.

Wydostanie się z tego piekła było możliwe dopiero na drugi dzień rano. Nie doczekałyśmy się pomocy ze strony ONZ, zaryzykowałyśmy więc, że same zajedziemy do Rutshuru. Dowiedziałyśmy się, że w wiosce nie ma żołnierzy, pozbierałyśmy trochę rzeczy osobistych, wyposażenie ośrodka USG i monitor z sali operacyjnej, komputer, drukarkę. Zabrałyśmy też ludzi, którzy ukrywali się u nas, zwłaszcza matki i dzieci (4 rodziny). Wioska była opustoszała, drzwi domów wyważone, okradzione... Na drodze widok przerażający - leżały trzy trupy żołnierzy. Wśród krzewów kawy przy drodze kolejne zwłoki. Najgorsze, że dzieci, które jechały z nami, widziały to wszystko. Widziałam strach i przeżenie w ich oczach.

Na drodze mijaliśmy tłumy ludzi, którzy odważyli się wrócić po swoje mienie i żywność. Przechodzili koło tych trupów. Nikt nie śmiał ich ruszyć, bo byli to „nieprzyjaciele”. Jak tylko dojechaliśmy na parafię, żywi „nieprzyjaciele” znów pojawili się na drodze i w wiosce. Na pewno też sprzątnęli swoich zabitych. Dowiedzieliśmy się, że dokończyli akcję rabunku w wiosce i na ludziach wracających ze swoim mieniem.

Bardzo dużo ludzi znalazło schronienie w najbliższych, spokojniejszych wioskach, gdzie tereny nie są zajęte przez rebeliantów.

W ośrodku zdrowia zostało kilku pielęgniarzy z chorymi. Dobrze, że jest mur kamienny i porządna metalowa brama, która nie pozwala przedostać się nieprzyjacielowi do środka. Oni oczywiście już kilka razy chcieli się włamać po leki i do magazynów żywnościowych.

Taka napięta sytuacja zaczęła się już 24 grudnia. Chciałyśmy pojechać do Rwandy, aby wspólnie z naszymi siostrami spędzić święta Bożego Narodzenia. Niestety, przejazd był niemożliwy. Wojska rebelianckie zainstalowały się w buszu, koło drogi. Wybuchami bomb i strzałami prowokowali swoich przeciwników do walki. Z drugiej strony nie było odzewu. Prawdziwa walka zaczęła się dopiero 27 grudnia rano.

Tak więc Wigilię przeżywałyśmy razem z naszą wioską. Już o godzinie 16 była „Pasterka” - nie Msza św., tylko celebrowana przez odpowiedzialnych. Radość dzieci była wielka. Jeden maluch podszedł do mnie i mówi: *Ma soeur, ninafurayi sana, Jesus amezaliwa* (Siostrze, jestem szczęśliwy, radosny, bo Jezus się narodził).

Nie miałyśmy wieczery wigilijnej, jak się należy w ten dzień. Zjadłyśmy, co miałyśmy - jajecznicę z pieczarkami z puszek. Nawet nie miałyśmy opłatka. Ta prostota i ubóstwo warunków, w jakich się znalazłyśmy z siostrą Basią w ten tak uroczysty dzień, wcale mnie nie przeraził. Wręcz przeciwnie - pomógł mi pogłębić radość z narodzenia Jezusa w Betlejem. Jestem Bogu wdzięczna za to doświadczenie, za wszelkie łaski, za Jego opiekę nad nami i ludźmi z naszej wioski w tych trudnych chwilach.

Pomimo że miałyśmy tyle planów, zaprogramowanych spotkań, m. in. rozdawanie ubrań świątecznych, spotkanie świąteczne dzieci, rodziców, ufam, że jak tylko sytuacja się unormuje, dzieci, ludność i my, siostry, powrócimy do swoich codziennych zajęć. Proszę Was oraz wszystkich rodziców adopcyjnych, abyście się o to gorąco modlili.

Niech Pan Wam błogosławi. S. Basia też pozdrawia serdecznie. Z Bogiem

S. Mirosława Leszkowska

NORMALIZACJA PRZEZ... NIEWOLNICTWO

Organizacja „Pomoc Kościołowi w Potrzebie” poinformowała, że sytuacja w Birmie wróciła do swoistej normy. Wszystkie dziedziny życia znów są kontrolowane przez totalitarną juntę wojskową, a organizatorzy i uczestnicy protestów, które miały miejsce we wrześniu, są więzieni, torturowani i mordowani. Odbывают się deportacje ludności cywilnej, powszechna też jest praca przymusowa, także dzieci i młodzieży. Stąd kupując produkty z Birmy, wspieramy niewolnictwo państwowe.

Sytuacja w Birmie oraz łamanie praw człowieka wielokrotnie piętnowała ONZ.

DLA GŁODNYCH

Od kilku lat gdański ośrodek Ruchu Maitri wspiera ośrodek zdrowia w misji Buraniro (Burundi), prowadzony przez zgromadzenie Sióstr Kanoniczek Ducha Św. Siostry zwracają się o ponowną dotację na dożywianie głodujących.

Buraniro, styczeń 2008

Dziękujemy Wam za okazaną nam od kilku lat pomoc w dożywianiu głodnych dzieci w naszym ośrodku zdrowia w Buraniro. Oprócz niedożywionych dzieci pomocą otaczamy również matki w stanie błogosławionym, karmiące i samotnie wychowujące dzieci, a także rodziny wielodzietne, biednych, chorych, przebywających w naszym Szpitalu, zwłaszcza chorych na AIDS, gruźlicę.

W roku 2007 otrzymaliśmy od Was 6500 dolarów na dożywianie. Pieniądze te zostały przeznaczone na zakup żywności dla głodnych. Z powodu roku głodu każdego miesiąca przygotowujemy w naszym ośrodku posiłki dla około 1000 osób.

Zwracamy się do Was z prośbą o dalszą pomoc dla naszego ośrodka dożywiania. W tym roku prosimy o sumę 4000 euro. Z powodu wzrostu cen paliwa i żywności np. 1 kg fasoli w lutym kosztował 560 franków burundyjskich, a pod koniec roku - 850.

Z góry dziękujemy za zrozumienie i zaufanie, którym obdarzacie nas i naszą pracę misyjną. Polecamy Bogu Was i Wasze rodziny, zapewniając o pamięci w modlitwie.

S. Teofila Tudryn

*Odpowiedzialna za Ośrodek Dożywiania
Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego*

ULICA O. ŻELAZKA

Jedną z ulic w Poznaniu, z którym związany był zmarły dwa lata temu ojciec Marian Żelazek SVD, będzie nosić jego imię. Z wnioskiem o uhonorowanie w taki sposób związanego z Poznaniem misjonarza, który pracował w Indiach, m.in. wśród trędowatych, wystąpiła Akcja Katolicka archidiecezji poznańskiej.

ODNOWIONA STRONA INTERNETOWA MAITRI

W drugiej połowie roku dzięki nawiązaniu współpracy z Grupą SPOT Spółka Jawna z Gliwic podjęto prace nad modyfikacją naszego serwisu www.maitri.pl. Strony zyskały nową szatę graficzną, pojawiły się zakładki zawierające mapy poszczególnych krajów Afryki z zaznaczonymi placówkami misyjnymi współpracującymi z Ruchem Maitri, wprowadziliśmy galerie fotografii z misji oraz statystyki Adopcji Serca. Na stronach oprócz zdjęć można zobaczyć także amatorskie filmy, nakręcone w trakcie pobytu naszych wolontariuszy w placówkach misyjnych (zakładka Adopcja Serca Watch/Video) Wszystkie prace zostały wykonane nieodpłatnie przez pracowników firmy SPOT oraz naszych wolontariuszy, za co serdecznie dziękujemy.

Tadeusz Makulski

DACH ZOSTAŁ WYREMONTOWANY

Gdański ośrodek Maitri w odpowiedzi na gorący apel s. Weroniki Sakowskiej, Pallotynki pracującej w Doumé w Kamerunie, przekazał 10 tys. euro na remont szkoły im św. Jana Bosko. Koszt całego projektu (40 tys. euro) przekraczał nasze możliwości, ale dzięki naszej pomocy udało się rozpocząć prace i znaleźć kolejnych darczyńców. Oto listy z Doumé.

Doumé, Kamerun, listopad 2007

Drodzy Przyjaciele

Z ogromną wdzięcznością piszemy ten list, by wyrazić nasze uznanie za prace wykonane w naszej szkole w tak krótkim czasie. Przed czerwcem 2007 r. dach dwóch budynków pokryty był dachówkami zniszczonymi przez czas. Różne myśli drażyły głowy nasze i siostry Weroniki. Ale dzięki łasce Bożej i Waszej wrażliwości marzenie stało się rzeczywistością. Mając trzy miesiące wakacji, musieliśmy zmobilizować wszystkie siły, by rozpocząć i zakończyć prace. Musiały odbywać się na różnych poziomach: zmiana dachu na dwóch budynkach 76,27 x 10 m oraz 16,50 x 9,3 m; budowa platformy ze schodami, dwupoziomowe podwórze.

W porze deszczowej podwórko było pełne błota i wody. Nowa hala pozwoli uczniom schronić się podczas przerwy i umożliwi spotkania z rodzicami. W małym budynku odmalowano klasy - od czasu ich budowy pół wieku temu nigdy nie były malowane.

Aby skutecznie wykorzystać zasoby ludzkie, utworzono trzy ekipy techniczne:

- pierwszą grupę stanowili cieśle z Lomié (8 osób), którzy odnowili konstrukcję;
- druga, liczniejsza grupa była odpowiedzialna za budowę hali o wymiarach 25 x 10 m, budowę platformy, elektryfikację klas, wymianę kabli oraz instalację wodociągową w domach nauczycieli, wykonanie wykopów pod fundamenty na budynek sekretariatu, biura siostry zarządzającej i magazynu;
- trzecia grupa składała się z kilku nauczycieli oraz młodych ludzi, poszukujących środków na kolejny rok szkolny.

Rodzice też nie pozostawali z boku. Dobrowolnie przychodzili pomagać, by przyspieszyć prace. Dyrektor zjednoczenia Pantehnika, budującego drogę Ayos-Bonis, zapewnił transport cementu, piasku i żwiru.

Wysiłki zakończyły się metamorfozą naszej szkoły, która została zakwalifikowana do najlepszych szkół w naszej prowincji. Uczniowie, rodzice i nauczyciele cieszą się ze znaczących zmian warunków pracy. Odwiedzający misję zazdroszczą nam tego klejnotu, z którego jesteśmy i będziemy dumni. Jesteśmy też dumni z siostry Weroniki i jej zmysłu organizacyjnego. Trzeba również wspomnieć pana Sylvain, który był prawą ręką Siostry, zawsze aktywny i do jej dyspozycji.

Załączamy podziękowania przewodniczącego rady parafialnej oraz pedagoga z naszego biura współpracy.

Prosimy wszechmogącego, wiecznego Boga, by stokrotnie wynagrodził dobroczyńców szkoły im. Św. Jana Bosko, która stanowi bazę szkolnictwa katolickiego w diecezji.

Tamkoeng Hewu

Dyrektor szkoły im. św. Jana Bosko

Doumé, Kamerun, listopad 2007

Drodzy Ofiarodawcy

Pragnę w imieniu uczniów szkoły im. św. Jana Bosko w Doumé i ich rodziców złożyć świadectwo wdzięczności za wzruszające dzieło, jakie Wasz Ruch ofiarował naszej parafii, zaczynając od budowy hali wielofunkcyjnej, odnowy zniszczonych klas, biblioteki i udekorowania całości kwiatami, a kończąc na doskonałej organizacji administracyjnej naszej szkoły. Nie zapomnimy o Waszej hojności na rzecz naszej placówki. Dziękujemy też siostrze Weronice za ogromny trud włożony w realizację tego dzieła. Stała się i architektem, i robotnikiem, w słońcu i w niepogodę. Siostra Weronika pokazała nam, jak dobrze zarządzać szkołą, nie zapominając o osobach starych i biednych w naszym miasteczku. Szkoła stała się przykładem w naszej miejscowości i w całej diecezji. Osiągnięcia

szkoły rosną, a wyniki na koniec roku szkolnego są doskonałe.

Towarzyszymy Wam w naszych modlitwach. Niech Pan Bóg Was błogosławi i obdarzy wieloma łaskami.

Gustave Bruno Nkene

Przewodniczący rady parafii Najśw.

Serca Pana Jezusa w Doumé, Kamerun

Doumé, Kamerun, listopad 2007

Drodzy Ofiarodawcy

Jakiś czas temu pisałem do Was, by podziękować za aktywne i skuteczne uczestnictwo w edukacji i poprawie życia młodzieży w Doumé. Zawsze, gdy będę miał okazję, pragnę wyrazić swoje szczerze i głębokie uczucia wdzięczności. Chciałbym podkreślić trzy elementy, wskazujące na poprawę jakości życia Szkoły Katolickiej im. św. Jana Bosko:

1. Rezultaty egzaminów
 - a) doklasy VI zdało 85,71% uczniów klasy V;
 - b) 100% uczniów ostatniej klasy otrzymało świadectwo ukończenia szkoły podstawowej. Czy można jeszcze coś dodać? Proszę samemu wyciągnąć wnioski.
2. Remont przeprowadzony w czasie wakacji zupełnie zmienił szkołę. Dach został całkowicie wyremontowany, ściany umyte, podłogi i tablice odnowione, drzwi pomalowane. Nie można zapomnieć o pracach na zewnątrz - wielka hala, kanalizacja, płyty kamienne rozwiązują problem błota i kurzu. Oprócz tego każda klasa ma oświetlenie i lekcje mogą się normalnie odbywać nawet w dni pochmurne. Krótko mówiąc, zmiany w szkole spowodowały, że rodzice nazywają ją Uniwersytem Katolickim.
3. Sekretariat Szkolnictwa Diecezjalnego ustanowił stanowisko pedagoga szkolnego. Jego obecność wspomże dyrektora szkoły w pracy pedagogicznej.

Zapewniam Was o naszej modlitwie, aby dobry Bóg zachował Was w zdrowiu, dał długie życie, aby Wam błogosławił za Waszą hojną rękę, zawsze otwartą dla naszych dzieci, a także dla nas. Ogromne dzięki

Emini Toussaint Valentin

Diecezjalny animator pedagogiczny

JESTEM PIELEŃNIARKĄ...

Ndélélé, Kamerun, 29 grudnia 2007

Kochani Rodzice z Adopcji Serca

Jestem zakonnicą ze zgromadzenia Sióstr Pasjonistek, nazywam się Teodora Grudzińska. Pracuję w Kamerunie już 21 lat. Jestem pielęgniarką i prowadzę ośrodek zdrowia. Szczepię dzieci i kobiety ciężarne w jedenastu wioskach, gdzie też leczę chorych. Zakres naszej pracy jest bardzo szeroki, zwłaszcza w dziedzinie wykrywania AIDS i opieki nad chorymi, by ratować od zarażenia dzieci. Niestety, prawie 30% ludności z naszego regionu jest nosicielem wirusa HIV, stąd od 5 lat notujemy dużą ilość sierot lub półsierot. Dlatego napisałam do Ruchu Maitri w Gdańsku prośbę o pomoc. Prośba została przyjęta i lista dzieci została złożona w czerwcu 2007 r.

Dzięki Bogu i Waszej pozytywnej odpowiedzi, a także ofiarnej pracy wolontariuszy Ruchu Maitri, 80 naszych dzieci poszło w tym roku do szkoły, mając książki i ubranka, wyżywienie i opiekę zdrowotną. Mają też małą sumę oszczędności na następne lata, co kiedyś będzie ich wyprawką. Gdy opuszczą szkołę, kupimy im jakieś narzędzie pracy lub pomożemy rozpocząć studia. To jeszcze daleka droga, ale początek został zrobiony.

Jednak nam, początkującym, przy nawale innej pracy, sprawiło to trochę kłopotu i spowodowało nieporozumienia. Problemem jest odległość i brak komunikacji, bo nie posiadamy Internetu. W dodatku nasza poczta funkcjonuje po afrykańsku, kiedy chce i jak chce. My już do tego jesteśmy przyzwyczajone,

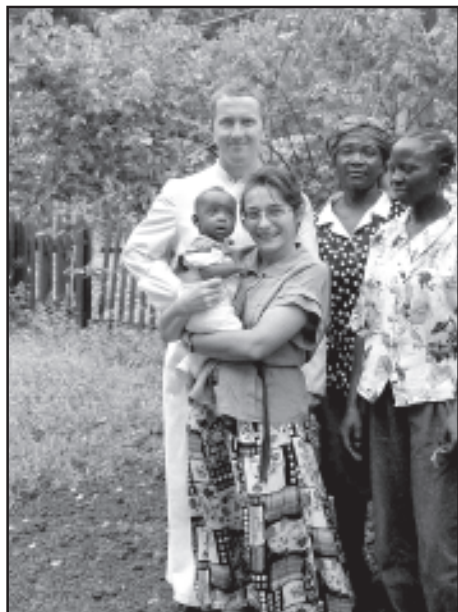
ale to nas zmusza do czekania na okazję, by wysłać listy do Polski, jak to czynię obecnie.

Przepraszam tych rodziców, którym zmieniono dziecko. Otóż nikt tu nic nie zawinił, to są realia życia sierot, że ich opiekunowie się zmieniają lub używają dzieci jako siłę roboczą. Tutejsi opiekunowie byli przed wakacjami poinformowani, że organizujemy pomoc. Robiłam za ich zgodą zdjęcia, ale nie mogłam zapewnić, że na pewno pomoc przyjdzie i dzieci pójdą do szkoły. Gdy wróciłam z Polski z gotówką, kilkoro dzieci już nie zastałam. Dlatego byłam zmuszona dośłać dokumentację kolejnych sieroty, co spowodowało problem. Obecnie, gdy opiekunowie widzą, że dzieci mają wielką pomoc z Polski, na pewno się ich nie pozbędą. Na tej podstawie możemy zapewnić, że nie zmienimy już dzieci, ale faktycznie

Dokończenie na str. 6

JESTEŚMY DZIEĆMI JEDNEGO OJCA

Pani Barbara Uszko pracowała pięć lat w charakterze misjonarki świeckiej w Kamerunie. Teraz zajmuje się w naszym Ruchu projektem edukacyjnym dla dzieci Pigmejów Baka z Kamerunu, o którego wsparcie prosiłmy w poprzednim numerze. Rozmawia z nią Wojciech Zięba.



Barbara Uszko na misjach w Kamerunie

W. Z.: Powiedz nam coś o sobie.

B.U.: Jestem absolwentką filologii romańskiej KUL. Pracuję jako urzędnik służby cywilnej i studiuje zaocznie prawo. Pochodzę z diecezji opolskiej i z tym Kościołem lokalnym czuję się najbardziej związana, choć nie mieszkam tam na stałe. Jestem też bardzo związana z diecezją Yokadouma w Kamerunie, gdzie w latach 1995-1999 pracowałam jako misjonarka świecka, odpowiedzialna za projekt edukacyjny dla dzieci Pigmejów Baka.

W. Z.: Jak doszło do wyjazdu?

B.U.: To długa historia, która trwała ponad 8 lat. Tuż po maturze, przed egzaminami wstępnymi na filologię romańską, przeczytałam książeczkę Waltera Trobischa „Kochałem dziewczynę”. Zafascynowała mnie wtedy postać autora, protestanckiego misjonarza w Kamerunie, który w piękny sposób wyjaśniał Afrykańczykom, czym jest miłość i jak o nią walczyć. W młodości w uniesieniu pomyślałam sobie, że też bym chciała pracować na misjach, a ponieważ wybierałam się na filologię romańską, więc studia mogły być dobrym przygotowaniem do tej pracy.

Jednak tuż po rozpoczęciu studiów przestałam myśleć o misjach. Nie pielegnowałam tego pragnienia, unikałam kontaktów z misjonarzami. Okres studiów był dla mnie tak piękny, że jakiegokolwiek myślenie o przyszłości traktowałam jak porzucenie tego, czym żyłam i co dawało mi sporo radości.

Przyszła jednak ostatni semestr, obrona pracy magisterskiej i pytanie: Co dalej? Wróciła myśl o misjach. Pragnęłam przekonać się, czy jest to „sprawa Boża”. Napisałam do Instytutu Misyjnego Laikatu przy Komisji Epi-

skopatu ds. Misji. Zaproszono mnie na spotkanie, na którym dowiedziałam się, że biskupi diecezji misyjnych nie przysłali żadnego zapotrzebowania na nauczycieli języka francuskiego. W trakcie spotkania spytano mnie także, czy nie byłabym zainteresowana pracą w charakterze lektora języka francuskiego w Centrum Formacji Misyjnej (CFM).

Byłam zaskoczona pytaniem, coś tam dyplomatycznie odpowiedziałam i wracałam ze spotkania z przekonaniem, że sprawa załatwiona: nikt nie szuka romanistów do pracy w krajach misyjnych, więc czas układać sobie życie po studiach na swój sposób. Wzmiankę o pracy lektora w CFM potraktowałam jako miłe słowo ze strony Księdza Dyrektora, po którym nie należy się niczego spodziewać. Byłam przekonana, że w Warszawie jest mnóstwo doświadczonych romanistów, którzy bardziej będą nadawać się do tej pracy niż ja, świeżo upieczona absolwentka filologii romańskiej. W dwa tygodnie po spotkaniu miałam już „zaklepaną” pracę w liceum w moim rodzinnym mieście. Wróciłam do Lublina, by obronić pracę magisterską i... zastałam list oficjalną propozycję pracy w CFM w charakterze lektora języka francuskiego.

Znowu zmiana planów i we wrześniu 1992 r. znalazłam się w Warszawie. Sprawy misji stały się moim chlebem codziennym. Poznałam misjonarzy przebywających na urloпах i z bardzo bliska towarzyszyłam osobom przygotowującym się do pracy misyjnej. Bardzo mocno weszłam w ten misyjny świat i dobrze się w nim czułam. Po dwóch latach zdecydowałam się jednak pojechać na rok do Włoch. Ostatniego wieczoru mojego pobytu w CFM, powiedziałam na modlitwie Panu Bogu, że nie wiem, czy coś z tych moich misji wyjdzie, ale jeśli będzie mnie chciał tam mieć, to uda mu się do mnie dotrzeć jedynie przez misjonarzy, których tu poznałam.

Osiem miesięcy później dostałam list od pielęgniarki Kasi, misjonarki świeckiej w diecezji Yokadouma w Kamerunie. Pisała, że Małe Siostry Ewangelii potrzebują kogoś świeckiego do pomocy w projekcie edukacyjnym dla dzieci pigmejskich i że pomyśleli o mnie.

W. Z.: Jak na ten pomysł zareagowała Twoja rodzina?

B.U.: Gdy podejmowałam decyzję o wyjeździe, byłam w Rzymie. W zasadzie postawiłam moją rodzinę przed faktem dokonanym. Po powrocie z Rzymu oznajmiłam, że teraz jadę na misje do Kamerunu. Mama z troską poradziła mi, żebym lepiej poszła do zakonu. Było to jednak nierealne, bo powołania do życia zakonnego nigdy nie czułam. Moja rodzina wspierała mnie w decyzji, choć wiedziały, że wolałyby, abym została w Polsce. Rodzice nigdy nie próbowali mnie odwieść do tego wyjazdu, szanowali moją decyzję. Zaledwie dziewięć miesięcy od otrzymania listu byłam już w Kamerunie. Jedyny raz, kiedy widziałam ojca

płaczącego, to właśnie w chwili mojego wyjazdu do Kamerunu w listopadzie 1995 r. Podczas pracy na misjach oraz po powrocie też mogłam liczyć na pomoc rodziców.

W. Z.: Dlaczego akurat misje?

B.U.: To tajemnica Pana Boga. Moje zaangażowanie w misje mogę sobie wyjaśniać na różne sposoby, ale tak naprawdę tylko On wie, dlaczego chciał mnie mieć w tamtym czasie w afrykańskiej dżungli. Wiem, że nie byłoby mojej obecności tam, gdybym nie wzięła sobie do serca Chrystusowego nakazu: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody”, gdybym nie wykazywała jakiejś wrażliwości na sprawy Kościoła i gdybym nie chciała ofiarować części siebie nieznanym ludziom o innej mentalności i kolorze skóry, otwierając się przy tym na ich bogactwo.

W. Z.: Dlaczego akurat w Afryce?

B.U.: Stamtąd przyszło zapotrzebowanie. Chciałam podzielić się sobą z Pigmejami Baka, bo oni są najbardziej marginalizowaną w Kamerunie grupą społeczną, a szczególnym zadaniem Kościoła jest przecież być z ubogimi i odrzuconymi.

W. Z.: Na czym polega praca misjonarza świeckiego?

B.U.: Ewangelizacja służy promocji całego człowieka. Trudno głosić naukę Chrystusa ubogim, nie pytając ich wcześniej, czy nie są głodni, spragnieni, chorzy, nadzy. Dlatego Kościół w krajach misyjnych prowadzi i wspiera dzieła pomocy w zakresie służby zdrowia, edukacji, praw człowieka, Sprawiedliwego Handlu itp. Misjonarz świecki angażuje się z pobudek religijnych w dzieło misyjne Kościoła przez działalność ewangelizacyjną (np. prowadzenie katechez, grup religijnych w parafii), a także służy ludziom, do których został posłany, swoimi „talentami”, m.in. wiedzą i doświadczeniem zawodowym. Ponieważ większość czasu na misjach spędzamy, wykonując swój zawód (lekarz, pielęgniarka, nauczyciel, mechanik, architekt), nasza praca misyjna polega głównie na dawaniu świadectwa, że Bóg troszczy się o każdego człowieka. Ta praca ma służyć jego rozwojowi. Nie tworzyłam sobie jakiejś wizji swej pracy i wymiernych celów, które miałam zamiar osiągnąć. Moim jedynym celem było bycie do dyspozycji ludzi, do których przyjechałam. To zakłada rozmowy, wzajemne poznanie się i budowanie zaufania oraz wspólne podejmowanie konkretnych zadań, np. budowa szkoły, szycie ubrań dla dzieci, założenie i uprawa szkolnego ogrodu. Konieczne trzeba uszanować ich rytm poznawania rzeczywistości, podejmowania decyzji, pracy... To wymaga od nas, Europejczyków, wiele cierpliwości, bo my lubimy szybko i sprawnie, a Afrykańczyk ma zawsze czas. Jeżeli chcemy być dla nich, również musimy mieć dla nich czas. Inaczej narzucamy im swą wizję świata.

Kiedyś szukałam animatora do pracy w szkole. Miałam dwóch kandydatów zgłoszonych przez rodziców: Pigmeja, który nie skończył nawet szkoły podstawowej, i Bantu, który ukończył kilka klas gimnazjum. By-

łam pewna, że Bantu lepiej sobie poradzi w przyszłej pracy, ale wolałam, żeby wyboru dokonali rodzice. Wybór animatora przez rodziców gwarantował mi ich wsparcie dla szkoły i czuwanie nad regularnym uczęszczaniem do niej ich pociech. Rodzice wybrali Pigmeja z nieukończoną szkołą podstawową. Czułam, że nie wróży to dobrze przyszłości szkoły, ale bez dyskusji przyjąłm decyzję rodziców i zaczęłam przygotowywać Pigmeja do jego nowych zadań. Zaprosiłam go na staż do szkoły, położonej najbliższej naszej misji. Pierwszego dnia przeraziłam się wręcz, bo okazało się, że on miał trudności z czytaniem. Po trzech dniach zniknął. Praca z dziećmi najwyraźniej przestała mu się podobać. Kilka dni później, musieliśmy z rodzicami dokonywać ponownego wyboru animatora.

Ta historia jasno uświadomiła mi, że nasza rola polega tylko na towarzyszeniu im w układaniu sobie świata, ukazywanie, którą drogą najlepiej iść, ale nie narzucanie im naszej wizji. To jest ich życie i to mają być ich decyzje.

Projekt, w którym uczestniczyłam, był wspierany przez organizację z Holandii. Nie musiałam więc szukać samodzielnie pomocy materialnej, za to pisałam sporo raportów, rozliczeń finansowych itp. Jednak często zdarza się, że misjonarze świeccy, oprócz pracy w kraju misyjnym, sami szukają ofiarodawców wspierających ich pracę.

Jeszcze jedna istotna kwestia. Wszystko, co tam robimy, musi mieć głębokie osadzenie w modlitwie, w naszej osobistej relacji z Bogiem. Gdy zadawano mi pytanie, dlaczego zostawiłam swoją rodzinę i wygodne życie w Europie, odpowiadałam krótko: Gdyby Bóg nie istniał, nie byłoby mnie tutaj z Wami.

W. Z.: Czy praca misjonarzy świeckich wiąże się z powołaniem do życia w celibacie?

B.U.: Przed wyjazdem nikt od nas nie wymaga przysięgi zachowania celibatu. Jest to indywidualna sprawa pomiędzy misjonarzem, a Panem Bogiem. Z pewnością trzeba rozważyć, czy jest sens wyjeżdżać służyć innym, będąc jednocześnie zaangażowanym uczuciowo w związek z konkretnym człowiekiem, który zostaje w kraju. Mam wrażenie, że wtedy tak naprawdę nic nie robimy dobrze. Ale praca małżeństw katolickich na misjach ma głęboki sens i wartość. Są żywym świadectwem ich wspólnego zaangażowania w dzieło misyjne Kościoła, a w środowisku, gdzie poligamia jest bardzo rozpowszechniona, swoim życiem świadczą, że można być „mężem jednej żony”.

W. Z.: Jakie przygotowanie przeszłaś przed wyjazdem? Czy zdobyta wiedza bardzo różniła się od zastanej rzeczywistości?

B.U.: Wprawdzie nie przeszłam żadnego przygotowania teoretycznego, ale też byłam swoistym przypadkiem, gdyż przebywając w CFM byłam jego pracownikiem, nie słuchaczem. Zwykle osoby przygotowujące się do pracy misyjnej przechodzą 10-miesięczny kurs języka, medycyny tropikalnej, misjologii, wiedzy o krajach misyjnych itp. Moją wiedzę o afrykańskiej rzeczywistości czerpa-

łam głównie z rozmów z misjonarzami, z listów od osób, które tam są. Dzięki temu miałam dość realny obraz, co mnie czeka, i nie było jakiś specjalnych rozczarowań na miejscu.

W. Z.: Twoje pierwsze wrażenia, spotkanie z inną kulturą, klimatem, realiami życia...

B.U.: Moje pierwsze afrykańskie wrażenie, to uderzenie ogromnej fali ciepłego, tropikalnego powietrza po wyjściu z samolotu. Zaraz po tym mnóstwo czarnych ludzi - i wszyscy wydają się tacy sami. Z lotniska jeszcze pamiętam dziesiątki mężczyzn, którzy ofiarowywali swą pomoc przy dźwiganiu bagaży, aby zarobić. Kolejne wrażenie to podróż do mojej misji w Salapoumbé, oddalonej o ok. 800 km od stolicy kraju. Fatalne drogi, brak komunikacji. Część trasy (ok. 150 km) pokonałam ciężarówką, której kierowca zatrzymał się w każdej wiosce i popijał Johny Walkera. Na szczęście dowiózł mnie całą i zdrową do Yokadoumy. Jedzenie oczywiście całkowicie inne niż w Europie: banany, mięso z lasu (małpy, antylopy), maniok, słodkie ziemniaki i dużo wysmienionych owoców: papaje, mango, ananasy, gujawy, guanabany...

Nie przeżyłam jakiegoś szoku kulturowego. Wiedziałałam, że będzie inaczej i z przyjemnością poznawałam inny świat. Zadanie miałam o tyle ułatwione, że mieszkalam z Małymi Siostrami Ewangelii, które były tam od niemal 30 lat i dzięki ich opowieściom i wyjaśnieniom łatwiej było mi wejść w afrykańską rzeczywistość. Uwierało mnie nieco, że w Kamerunie nie dyskutuje się przelozonym. Pamiętam, jak pewnego razu przyjechał do Salapoumbé prowincjalny inspektor ds. edukacji, który kwestionował działania misji katolickiej na rzecz edukacji dzieci pigmejskich. Ośmieliłam się mieć inne zdanie i - co więcej - podjęłam dyskusję z Panem Inspektorem. Zdaje się, że zaszokowałałam go moim zachowaniem, bo tam osoba niższa rangą, w dodatku kobieta, nie powinna kwestionować opinii zwierzchnika. Dodam, że podczas dyskusji nie poparł mnie żaden Kameruńczyk, natomiast po jej zakończeniu kilku do mnie podeszło i powiedziało, że zgadzają się ze mną i cenią to, co robi Kościół na wschodzie Kamerunu na rzecz Pigmeja Baka.

W. Z.: Na czym polegała Twoja praca?

B.U.: Pracowałam na misji katolickiej w Salapoumbé (diecezja Yokadouma; jej ordynariuszem jest ks. bp Eugeniusz Jureczko, oblat z Polski). Moim zadaniem było prowadzenie projektu edukacyjnego dla dzieci pigmejskich. Miałam pod opieką 10 ośrodków wychowania podstawowego, w którym uczyło się ok. 600 dzieci i nauczało 17 animatorów. Moim zadaniem była formacja animatorów według specjalnej metody, którą opracował Antoine Huysmans, holenderski Brat Szkolny.

Główny problem polegał na tym, że sami animatorzy mieli zaledwie ukończone szkoły podstawowe, paru z nich najwyżej 1-2 klasy gimnazjum, a ich zadaniem było realizowanie programu pierwszych 2-3 klas szkoły podsta-

wowej. Poza tym do moich obowiązków należało zapewnienie szkołom materiałów dydaktycznych, kontakty z rodzicami i z przedstawicielami władzy lokalnej, czasami nadzór nad budową szkół. Zresztą tak naprawdę trudno wyliczyć, czym się tam zajmowałam, bo rzeczywistość była bardzo bogata. Zdarzało się, że przyjeżdżałam do wioski na zebranie rodziców, a tam niestety żaden rodzic na mnie nie czekał, bo w obozowisku akurat była wielka kłótnia. Cóż... włączałam się do niej jako mediator, a jeśli kłótnia była wynikiem nadmiernego spożycia alkoholu, po prostu trzeba było rozdzielić zwaśnione strony, wywołując jedną z nich kilkanaście kilometrów za obozowisko.

W. Z.: Jak wyglądały kontakty z miejscową ludnością?

B.U.: Bardzo różnie. Na pewno są ogromnie otwarci i chętni do nawiązywania zna-



jomości. Dzięki Afrykańczykom przeżyłam sytuacje, jakich nigdy nie przeżyję w Europie.

Wracałam kiedyś stopem do Salapoumbé. Ciężarówka, którą jechałam, wysadziła mnie późnym wieczorem ok. 15 km od misji. Ponieważ w wiosce tej mieszkał Gabriel, jeden z naszych pielęgniarzy misyjnych, pomyślałam, że wezmę od niego rower, a rano przyjadę po niego samochodem, by zawieźć go do pracy. Gabriel był już w łóżku. Nie pozwolił jednak, bym jeździła po nocy i pojechał sam do naszych księży, by ściągnąć ich po mnie.

Innym razem w zupełnie nieznanym mi wiosce spotkałam zaprzyjaźnionych misjonarzy. Zatrzymaliśmy się na skraju drogi i zaczęliśmy rozmawiać, nigdzie się specjalnie nie spiesząc. Nagle właściciel stojącego nieopodal domku podszedł i zaprosił nas do siebie. Tłumaczył, że skoro spotkaliśmy się właśnie tutaj, to znaczy, że Bóg chciał, żebyśmy go dzisiaj odwiedzili. Oprócz możliwości schronienia się przed spiekotą zostaliśmy jeszcze ugoszczeni czymś bogatym. Było to piękne doświadczenie ewangelicznego nakazu przyjmowania podróżnych do swego domu.

Ale były też momenty poirytowania, gdy czasami Afrykańczycy traktowali nas jako „ludzi, którzy zawsze mają pieniądze, a jeśli ich nie mają, to i tak je mają”. Czasem jednak starałam się zrozumieć, czemu tak nas postrzegają. Nawet jeśli nie miałam pieniędzy przy sobie, miałam rodzinę i przyjaciół w Europie, na których wsparcie zawsze mogłam liczyć.

JESTEŚMY DZIEĆMI JEDNEGO OJCA

Dokończenie ze str. 5

W. Z.: Co było najtrudniejsze w tej pracy i w samym pobycie w Afryce?

B.U.: Spotkanie ze śmiercią, głównie ze śmiercią dzieci umierających na choroby, które w Europie można bez problemu wyleczyć. Śmierć jest tam wszechobecna i można się z nią zetknąć wszędzie, np. w drodze do wioski, podczas której spotykałam matki ze zmarłymi dziećmi na ręku, bo nie zdążyły na czas do przychodni, śmierć dzieci w wyniku ukąszenia przez węże, czy inne, wydawałoby się, równie bezsensowne przypadki.

Gdy ludzie umierali tylko dlatego, że pomoc medyczna przychodziła za późno, zawsze czułam jakąś bezradność i bunt. Zastanawiałam się, czemu życie w krajach bogatych jest ratowane szybko i dopóki istnieje choćby cień szansy? A życie w afrykańskiej puszczy? Ludzie nie mogą tam skorzystać z osiągnięć medycyny tylko dlatego, że urodzili się w biednym kraju. To był dla mnie namacalny przykład niesprawiedliwości, będącej skutkiem ubóstwa, gdyż miejsce urodzenia określa warunki życia, dostęp do opieki medycznej, edukacji... Wtedy zadawałam sobie pytanie: Jaka jest moja zasługa w tym, że urodziłam się w kraju, gdzie mogłam się bez problemu uczyć, leczyć, nie chorowałam z niedożywienia?

A jeśli nie ma w tym mojej zasługi, tym bardziej powinienam dzielić się z potrzebującymi.

W. Z.: Co dawało największą radość?

B.U.: Widok dzieci, które na początku roku szkolnego nie potrafiły trzymać ołówka w ręce, a po dwóch latach nauki pięknie czytały i kaligrafowały, które przychodziły po szkole do mojego domu i chciały w dalszym ciągu malować, czytać i w ogóle pomagać mi w moich domowych pracach. Chłopcy byli zawsze niezawodni, gdy zabierałam się za mycie samochodu; dziewczynki - gdy sprzątałam dom albo robiłam pranie. Także wszelkie przejawy dzielenia się, np. po udanym polowaniu ludzie przynosili nam kawałek mięsa.

W. Z.: Co ta praca wniosła w Twoje życie?

B.U.: Dużo radości i poczucia, że to, co robię, ma głęboki sens. Otwierała na drugiego człowieka, pozwalała doświadczyć życzliwości i opieki tych, do których byłam posłana. Uczyla słuchania innych, by jak najbardziej być z nimi i służyć im sobą. Uczyla szacunku dla mądrości osób bardziej doświadczonych życiowo: gdy miałam jakiś trudny problem, szłam porozmawiać ze starym Mbaminą, emerytowanym nauczycielem, pastorem protestanckim, który... znał Waltera Trobischa.

Po afrykańskim doświadczeniu łatwiej mi zdystansować się od problemów w Europie. Prawdziwe problemy są tam, gdzie ludzie tracą życie z powodu niesprawiedliwości i ubóstwa. No i przede wszystkim jest to piękne

doświadczenie wiary i powszechności Kościoła, w którym wszyscy - bez względu na kolor skóry - jesteście dziećmi tego samego Ojca i On kocha tak samo każdego z nas.

W. Z.: Jak było po powrocie do Polski?

B.U.: W krótkim czasie z osoby, która miała mnóstwo spraw na głowie i deficyt wolnego czasu, stałam się osobą, od której nikt nie chce i ma sporo wolnego czasu. Nagle w moim życiu pojawiła się pustka, którą trzeba było jakoś rozsądnie zagospodarować. Trzeba było zmierzyć się z polską rzeczywistością, do której wróciłam po pięciu latach nieobecności, znaleźć pracę i pomysł na dalsze życie. Planowałam dalszą pracę w charakterze nauczyciela języka francuskiego, ale podczas mojej nieobecności rynek pracy dla romanistów bardzo się skurczył. Trzeba było pomyśleć o nowych kwalifikacjach i pracy w innym niż dotychczas charakterze. To było jakby rozpoczęcie swego dorosłego życia od początku. Sporo osób pytało mnie o moje kameruńskie doświadczenia, ale czułam, że to, co mówię, nie odzwierciedla ani w przybliżeniu tamtejszej rzeczywistości i że nigdy w żaden sposób nie wyrażę słowami tego, co tam przeżyłam. Czas spędzony w Kamerunie pozostanie na zawsze bardzo mocnym doświadczeniem w moim życiu, czuję że w Salapoumbé zostawiałam część siebie i z przyjemnością wracam do wspomnień stamtąd. *C.d.n.*

WYBUDUJMY CYSTERNĘ DLA PRZEDSZKOLA

Doumé, Kamerun, 9 stycznia 2008

Zwracam się z serdeczną prośbą o pomoc w dofinansowaniu projektu budowy nowego przedszkola w Doumé (kosz całkowity 11 tys. euro), w szczególności o wybudowanie cysterny i małej wieży ciśnień, która w porze deszczowej gromadziłaby wodę z dachów, a następnie gwarantowałaby stały jej dopływ podczas pory suchej. Deszczówka służyłaby do mycia sal klasowych i pozostałych obiektów szkolnych, jak jadalnia, kuchnia, toalety, a także do polania od czasu do czasu placu zabaw, by uniknąć nadmiernego kurzu.

Jestem przekonana, że w krajach afrykańskich niezmiernie ważne jest, by wykorzystać to, co daje Bóg w naturze, np. nadmiar wody z pory deszczowej używać w porze suchej, tak bardzo dokuczliwej dla każdego z nas. Dlatego moim pragnieniem jest, by przy naszym przedszkolu, gdzie uczy się obecnie 180 maluchów, nie brakowało wody.

Obecnie przedszkole znajduje się w najstarszym budynku, którego dach i mury zaczynają się sypać. Jest to dla dzieci niebezpieczeństwo, z jakim mogą się spotkać każdego dnia. Podczas pory deszczowej trzeba przesuwac stoliki i krzesła, bo pada do klas. Widząc to zagrożenie, już od paru lat poszukuję pieniędzy na wybudowanie nowego przedszkola. Dopiero w tym roku otrzymałam obietnicę wsparcia, niestety nie na całość.

Głównym celem naszego projektu jest podniesienie poziomu życia tutejszej ludności. Miasto Doumé to mała miejscowość na

wschodzie Kamerunu, oddalona 300 km od stolicy kraju, Yaounde. Ludność żyje tu głównie z drobnego handlu lub niewielkich upraw, jak maniok, banany czy orzeszki ziemne.

Wszelka edukacja zaczyna się w domu. Jednak w aktualnej sytuacji nie możemy zbyt liczyć na podniesienie poziomu życia w rodzinie. Z projektu skorzystają dzieci w wieku od 2,5 do 6 lat. Obecnie w starym przedszkolu uczy się ponad 180 dzieci, a ich liczba co roku wzrasta. Rodzice dowożą dzieci motorami nawet z centrum miasta (kilometr), widząc, jak prowadzone są zajęcia i jakie korzyści mają dzieci. W przedszkolu trzy razy w tygodniu mamy dożywianie, gdyż - jak zauważyliśmy - dzieci przychodzą do szkoły głodne (w domach jedzą raz dziennie, kiedy rodzice wrócą wieczorem z pola). Dlatego też w przyszłym przedszkolu planujemy miejsce na kuchnię i jadalnię dla dzieci, aby miały odpowiednie warunki do zjedzenia śniadania i mogły z radością uczestniczyć w zajęciach.

Ponawiam więc prośbę o pomoc w poprawie życia tych najmniejszych w małej miejscowości na wschodzie Kamerunu. Już dzisiaj dziękuję każdemu, kto przyczyni się do polepszenia życia naszych dzieci, które są przyszłością tego misyjnego kraju.

Niech Pan błogosławi zarówno osobom odpowiedzialnym za Wasz Ruch, jak też wszystkim, którzy go wspierają modlitwą i ofiarą.

Szczęść Boże

S. Fabiana Leitgeber SAC

JESTEM PIELEŃNIARKĄ

Dokończenie ze str. 3

niewiele mamy w tej sprawie do powiedzenia.

Jeżeli chodzi o listy od dzieci, większość z nich nie potrafi jeszcze pisać. Dzieci wypowiadają swoje myśli, a ktoś je zapisuje. Ich opiekunowie też nie potrafią pisać. Chcę wyjaśnić pewne określenia z listów, np. mama to nie tylko opiekunka, ale też babcia, kuzynka i każda starsza kobieta. Mniej szerokie znaczenie ma słowo ojciec. Byłam świadkiem notowania jednego listu przez sąsiada, ucznia liceum, gdy dziesięcioletnie dziecko „rozpisało” się, dyktując to, czym chce się podzielić ze swoimi rodzicami. Ów „pisarz” korygował go co chwila, że takich „glupot” w liście nie pisze. Dlatego zebraliśmy wszystkich opiekunów i opiekunki, prosząc, by wybrani pisarze nie opuszczali niczego, bo dziecko chce przekazać lub czym się podzielić z tymi, którzy mu są bliscy pomimo odległości. Choć ich nie znają, czują jednak ich wielkie serce, który ich skłoniło do wybrania ich i *pokochniania*, co się przejawia w realnym czynieniu Adopcji Serca i opieki nad nim z oddali.

Dzielę się Wami, Kochani Rodzice, szczerą radością tych dzieci. Ich uśmiech życzliwości, kierowany do nas, Wam się należy i w tym liście go Wam przesyłam. Nie zapominajcie o nich, przygarnijcie też sercem inne, bardzo liczne dzieci z listy oczekujących.

Razem z dziećmi różnych religii modlimy się, by Bóg Wam wynagrodził i błogosławił.

Pozdrawiają sieroty z Ndélé

Siostra Teodora Jadwiga Grudzińska

TRAFIAJĄ DO NAS W STANIE KRYTYCZNYM

Ntamugenga, grudzień 2007

Serdecznie dziękuję Dobroczyńcom z Ruchu Maitri za 6 tys. dolarów dla ośrodka zdrowia w Ntamugenga. Pieniądze te posłużyły na zakup leków i innych środków medycznych oraz na wynagrodzenie dla lekarza.

Jak już pisałam, nasz ośrodek stał się ośrodkiem rejonowym, w którym lekarz przebywa stale. Możliwość wykonywania operacji znacznie zwiększyła liczbę chorych, którzy leczą się u nas. Dawniej byli przewożeni do szpitala w Rwanguba (30 km od Ntamugenga, przejazdy nocne wykluczone ze względu na brak bezpieczeństwa). Spadła śmiertelność, bo przypadki nagłe operowane są natychmiast. Od przybycia lekarza 50 łóżek szpitalnych jest stale zajętych. Hospitalizujemy średnio 180 osób na miesiąc. 30 pacjentów jest operowanych, z czego 10 operacji to cesarskie cięcia. Cały czas przyjmujemy chorych podlegających pod cztery sąsiednie ośrodki zdrowia.

Wśród pacjentów są ofiary nocnych napadów (rany postrzałowe, złamania kończyn w trakcie ucieczki). Są i tacy, którzy po długim i nieskutecznym leczeniu u lokalnych uzdrowicieli trafiają w końcu do nas, ale często w stanie krytycznym. Wśród nich była też siedmioletnia dziewczynka o imieniu Maska. Prze-



Maska na początku leczenia w Ntamugenga

U ŹRÓDEŁ... dok. ze str. 8

Co wtorki i piątki składamy wizyty w domach lub aranżujemy spotkania chorych i sierot. Środa to w naszym rejonie dzień *Gacaca**.

Naszą pomoc otrzymuje w chwili obecnej 25 dzieci. Niektórych dziś tu nie ma z różnych powodów. Wszystkie dostają żywność, lekarstwa, środki higieny i odzież, opłacamy im też szkołę. W miarę możliwości próbujemy rozwiązać ich problemy rodzinne. Jeśli na przykład dziecko opuszcza lekcje, próbujemy ustalić przyczyny. Idziemy do domu, aby rozeznaczyć sytuację. Czasem udaje się pomóc, ale często jest to trudne i delikatne - musimy zostawić dziecku prawo decyzji.

Te dzieci są bardziej wspierane i otaczane większą troską, niż inne. Poświęcamy im więcej czasu. Niektóre potrafią to docenić i wy-

szła skomplikowaną operację wycięcia fragmentu podziurawionego jelita. Konieczne były dwie kolejne operacje z powodu zapalenia otrzewnej, w trakcie których wykonano przetokę (sztuczny odbył od strony brzucha). Długotrwałe odżywianie pozajelitowe spowodowało niedożywienie, dlatego rany pooperacyjne nie mogły się zrosnąć. Nasze wysiłki polegały na dostarczeniu Masce właściwych składników odżywczych. Dzięki wspólnym wysiłkom jej stan po miesiącu na tyle się poprawił, że lekarz mógł zamknąć przetokę. Całość leczenia trwała trzy miesiące i jego efekt jest dla wszystkich ogromną radością.

Przyjęliśmy do pracy tylko trzech nowych pielęgniarzy. Nasza wioska nie jest atrakcyjnym miejscem dla szukających zatrudnienia ze względu na oddalenie i brak bezpieczeństwa, zwłaszcza że ostatnio żyjemy w ciągłym zagrożeniu. Mimo nielicznej kadry cały personel pracuje z poświęceniem i zapewnia chorym stałą, fachową opiekę medyczną. Lekarz nadal mieszka w jednej z sal szpitalnych; mamy nadzieję wybudować mu w bliskiej przyszłości dom. Jego żona i dzieci mieszkają w odległej o 75 km Gomie, on zaś odwiedza ich raz w miesiącu. Jest do dyspozycji chorych 24 godziny na dobę. Pracuje kompetentnie, z wielkim poświęceniem. Jest bardzo wdzięczny za wynagrodzenie, które od Was otrzymał.

Od września 2007 r. ludność prowincji Kivu Północne przeżywa kolejny bolesny okres. Znowy wybuchły walki między wojskami rządowymi a rebeliantami. Ludność masowo ucieka ze stref objętych wojną. Tylko w naszej parafii Rutshuru liczbę uchodźców szacuje się na ok. 20 tys. Dowóz żywności dla mieszkańców Gomy, stolicy prowincji, umożliwia tylko droga z Rutshuru. Z innych stron dojazd do miasta został odcięty przez walczących. Uchodźcy przebywają w bardzo trudnych warunkach, a ci, którzy nie mają gdzie mieszkać, często zajmują budynki szkolne, co oczywiście utrudnia prowadzenie normalnych lekcji. Jednocześnie ciągle zdarzają się napady bandyckie, gwałty, porwania i kradzieże. Strach stał się chlebem powszednim mieszkańców

korzystać. Mała grupa - choć to dla nas bolesne - żyje w zagubieniu.

Nasze życie jest bardzo różnorodne: cierpimy, ale także cieszymy się. Obecnie dzieciom i chorym służą trzy osoby: pani Margerite, nieobecna dziś pani Lawrence i ja.

W imieniu Sióstr Marystek dziękuję Wam za wszystko, co zrobiliście i jeszcze zrobicie dla tych dzieci. Przekażcie ode mnie podziękowania rodzicom adopcyjnym w Polsce, którzy pozostają w naszych sercach. Czasem widzimy ich na zdjęciach przysyłanych dzieciom.

Mamy nadzieję, że pewnego dnia powrócicie do Rwandy. Wasza wizyta zachęca nas do lepszego wykonywania pracy, a także podnosi na duchu tutejszych opiekunów dzieci. Każdemu z Was, którzy poświęcacie się dla dobra tych sierot, życzę sukcesów w pracy. Wiem, że to niełatwe - administra-

wschodniej części Kongo, a na pytanie "Jak długo jeszcze?" nikt nie odpowiada.

Wzrasta ubóstwo ludności. Ostatnie bardzo obfite deszcze zniszczyły wiele pól. Znaczna część terenów uprawnych jest niedostępna z powodu działań wojennych. Stwierdzamy znaczny spadek odporności ludności na choroby i niedożywienie. Nasz szpital nie mógłby funkcjonować bez leków i środków medycznych. Znaczna część Waszej pomocy przeznaczyliśmy na niedostępne tutaj nici chirurgiczne, które kupiliśmy w Polsce. Reszta została przeznaczona na leki, kroplówki i testy laboratoryjne. Posłużyły one do udzielania bezpłatnej pomocy medycznej również ofiarom wojny w regionie. Wasz gest miłosierdzia jest dla nas dowodem, że wciąż są ludzie, którym na sercu leży dobro drugiego człowieka. Pomagając bezinteresownie tym, których nie znacie nawet z imienia, jesteście dla naszej ludności świadkami Ewangelii.

Pozostaję z wyrazami ogromnej wdzięczności i szacunku oraz zapewniam o naszej pamięci w modlitwie

*Siostra Barbara Pustulka
Odpowiedzialna za ośrodek zdrowia
w Ntamugenga*

Trzy miesiące później wychodzi ze szpitala



cja, organizowanie kontaktów dzieci z rodzinami... Ale Pan jest z Wami. Niech Was pociesza i umacnia we wszystkim, co robicie.

Raz jeszcze bardzo dziękuję. Życzę udanego pobytu w Rwandzie, Kongo oraz Burundi i szczęśliwego powrotu do domu. Towarzyszy Wam nasza modlitwa - moja i całej ekipy pomocy, dzieci wspieranych przez Maitri, ich opiekunów i wychowawców."

Wzruszyła nas treść życzeń, byliśmy też nieco zaskoczeni świetną organizacją uroczystości.

Cdn.

Tadeusz Makulski

**Sądy ludowe, odbywające się w terenie; zasiadają w nich przedstawiciele lokalnej władzy i miejscowej ludności. Oskarżycielem może być każdy. Zwykle skazują one ludzi na kary wieloletniego więzienia za rzeczywiste lub domniemane przestępstwa, dokonane w trakcie wojny domowej (1994-95).*

U ŹRÓDEŁ ADOPCJI SERCA cz. III

Na Gikondo

U Sióstr Marystek

Nasz pobyt w okolicach stolicy Rwandy dobiega końca. Przed wyjazdem odwiedzamy Księżę Pallotyńców w Gikondo. Jest to centrala misji pallotyńskich w Rwandzie i Kongo, miejsce spotkań Pallotyńców afrykańskich i polskich. Jest tam wydawnictwo i drukarnia, dom rekolekcyjny i dom księży. Tutejsza kaplica, w której uczestniczymy w Eucharystii, była w r. 1994 miejscem masakry kilku miejscowych pracowników misji, chroniących się w niej z nadzieją uniknięcia tragicznego losu współplemieńców.

Pod nieobecność miejscowego przełożonego gospodarzem jest ks. Zdzisław Prusaczyk SAC. Oprawdza nas po całym wzgórzu. Późnym popołudniem jest okazja, by odwiedzić tutejszą nuncjaturę apostolską. Pochodzący z Leżajska ks. Krystian Dubiel, sekretarz nuncjatury, wprowadza nas w klimat dyplomacji watykańskiej.

Jedziemy na południe

Następnego dnia wyruszamy na południe kraju. Naszym celem jest misja Karama prowadzona przez Siostry Służki NMPN. Droga wiedzie przez odległe o trzy godziny drogi Ruhango i dawną stolicę Rwandy, Butare. Jazda nie nastręcza wielu problemów, przemierzamy się jedną z krajowych dróg asfaltowych, niezbyt szeroką, pełną zakrętów i wzniesień. Prowadzi siostra Marzena. Nie jedziemy szybko, nad porządkiem na drodze czuwają liczne patrole policji i wojska, rozmieszczone na rogatkach miast i w miejscach zakazu wyprzedzania. Widząc umundurowanych przedstawicieli władzy należy zwolnić, by nawiązać z nimi kontakt wzrokowy i użyć przyzwalający gest głową lub ręką. Może się jednak zdarzyć, że bardzo ważny stróż porządku nakaze się zatrzymać, by ze sroga miną oznajmić: „Jeździsz za szybko - widziałem”. Przybysz z Północy może się tylko domyślać, że wiedza ta pochodzi z radaru w głowie, czyli z siódmego zmysłu policjanta. Dyskusja w takich przypadkach nie jest wskazana.

Do Ruhango docieramy w porze wczesnego obiadu. Poznajemy s. Annę i Krystynę, prowadzące dom formacji dla dziewcząt, zamierzających wstąpić do zgromadzenia Sióstr Pallotynek. Jest też s. Aurelia, zajmująca się Adopcją Serca, i przełożona, s. Epiphanie. Przyjemne spotkanie, niestety bardzo krótkie. Umawiamy się na przyjazd za kilka dni.

Jedziemy do Butare. Czekają na nas dzieci z Adopcji. Jest to tylko godzina jazdy. Miasto jest drugim w kraju ośrodkiem uniwersyteckim; jest tu siedziba biskupa i domy kilkunastu zgromadzeń zakonnych z całego świata.

Opiekują się one kilkudziesięciorgiem dzieci w ramach Adopcji Serca. Docieramy do niewielkiej posesji na przedmieściach miasta. Wita nas s. Virginia, pochodząca z Madagaskaru. Choć drobna i niska, jest pełna energii i tryskającej z oczu radości. Dzieci reagują sprawnie na każdy jej gest i prośbę. Przydzielono nam miejsce przy długim stole, ozdobionym kwiatami i wycinankami.

Nasza wizyta została przygotowana z niezwykłą starannością. Oficjalnie wita nas s. Virginia: „Panie Tadeuszu, siostrze Marzeno, drogim dzieciom i wszystkim tutaj obecni, witam Was serdecznie w naszej misji w tę niedzielę 21 stycznia 2007. Składam Wam także moje życzenia szczęśliwego Nowego Roku 2007. Niech Pan Was błogosławi i zachowa przez cały rozpoczynający się rok. Możliwość przyjęcia Was i spędzenia razem tych kilku chwil jest dla mnie wielką radością. Już za moment będziecie mogli rozmawiać z dziećmi i być blisko nich.”

W programie spotkania znalazło się spotkanie z dziećmi, ich taniec i przemówienia, wreszcie ofiarowanie nam prezentów i mały poczęstunek dla wszystkich.

Mówi s. Virginia

W trakcie spotkania dłuższe przemówienie wygłosiła też s. Virginia:

„Historię misji Sióstr Marystek w Butare zapoczątkowała s. Franca ze zgromadzenia Sióstr Misjonarek Towarzystwa Maryi w roku 1990. Swą pracę zaczęła od wizyt domowych. Odkryła osoby dotknięte AIDS i pomagała im według potrzeb. Powoli liczba objętych pomocą rosła. Później s. Franca wyjechała na inną placówkę, a zastąpiła ją s. Giordana. Następnie przyjechała s. Marisa, misjonarka z Kolumbii, a s. Giordana zapoczątkowała trwającą do dzisiaj pomoc w ramach Adopcji Serca, zwanej tu Złotym Sercem. W r. 2003 zastąpiłam przebywającą obecnie w Burundi s. Giordanę. Kontynuuję prace, które zainicjowały moje poprzedniczki: przyjmowanie chorych na AIDS, wizyty w domach, leczenie, edukacja dzieci na poziomie podstawowym i średnim, pomoc żywnościowa, według naszych możliwości też pomoc w naprawach domów oraz wsparcie moralne i duchowe.

Mamy 107 dorosłych z AIDS. Jest też 96 sierot z tą chorobą. Niektóre są w szkole, inne muszą być głowami rodzin i zajmować się siostrami i braćmi. Mamy ponad 200 dzieci w szkole podstawowej i 50 w szkole drugiego stopnia. Pracujemy od poniedziałku do piątku. Poniedziałki i czwartki są zarezerwowane na przyjmowanie potrzebujących oraz porady.

Dokończenie na str. 7

POMÓŻMY SIEROTOM TRZECIEGO ŚWIATA

I Ty możesz nieść im pomoc, a nawet ratować życie poprzez:

- ofiarowanie w ich intencji modlitwy, przeciwności życiowych i cierpienia;
 - osobisty udział w organizowaniu pomocy w ramach wspólnot Ruchu Maitri;
 - zachęcanie do współudziału innych;
 - ofiary pieniężne wpłacane na konto złotowe lub dolarowe, podane w stopce;
 - rozprowadzanie naszej gazetki i ulotek;
 - udział w programie „Adopcja Serca”. Jest to indywidualny lub zbiorowy patronat nad wskazanym przez misjonarzy ubogim, zwykle osieroconym dzieckiem. Program ma następujące formy w zależności od poziomu nauki:
 - Szkoła podstawowa - dla dzieci szkolnych i młodszych. Składka miesięczna stanowi równowartość 13 euro (w tym 1 euro na koszty organizacyjne). Pomoc potrzebna jest do czasu usamodzielnienia się dziecka (co następuje zwykle w wieku 18 lat);
 - Szkoła średnia - równowartość 17 euro miesięcznie (w tym 1 euro na koszty organizacyjne). Pomoc trwa ok. 6 lat.
 - Szkoła Życia - równowartość 15 euro miesięcznie (w tym 1 euro na koszty organizacyjne). Pomoc trwa 3 lata, trafia do dziewcząt pełnoletnich, często kalekich lub osieroconych, które z tego powodu nie miały możliwości nauki ani zdobycia zawodu.
 - Dożywianie - leczenie i dożywianie anonimowych zgłodzonych dzieci - dowolne kwoty, przez dowolny okres czasu.
- Szersze informacje, deklaracje Adopcji Serca, ulotki można uzyskać osobiście, telefonicznie, listownie i na naszych stronach internetowych (dane w stopce).



Adres redakcji: Ruch Maitri, Parafia Najśw. Serca Jezusowego, ul. ks. Józefa Zator Przytockiego 3, 80-245 Gdańsk.

Tel./faks: 0-58/520-30-50, konto: PeKaO SA III/O. Gdańsk, nr 80 1240 1255 1111 0000 1523 4612, internet: www.maitri.diecezja.gda.pl,

e-mail: maitri@diecezja.gda.pl. Redaguje: Wojciech Zięba. Asystent kościelny: ks. Piotr Makliła.

Warunki prenumeraty: przesłanie ofiary na dowolny okres czasu (2,70 zł za 1 egz. wraz z wysyłką) z dopiskiem „Prenumerata”.

Biurowisko gdańskiego ośrodka Ruchu Maitri czynne: poniedziałki, wtorki, czwartki 12.00-19.00, środy 9.00-17.00, sale pod starą plebanią.

Wspólnotowa Msza św.: czwartek godz. 17.30 (oprócz wakacji), kaplica domu parafialnego.